

Stanisław Lem

Wyznania antysemitoty

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1, 62-79

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Stanisław Lem

Wyznania antysemitoty

1. Wbrew pozorom istnieje coś takiego, jak tajemnica relacji „znak — oznaczane”. I to dla dwu przyczyn co najmniej.

Po pierwsze, ponieważ czegokolwiek o znakach tylko dzięki znakom można się dowiedzieć: językiem o języku mówimy, językiem język rozpatrujemy. Nie o to tylko idzie, że on ma być wówczas lustrem, które, lustro odbijając, ma nam odsłonić istotę „zwierciedlanościi”, lecz o to, że tak zrealizowana relacja „samoodbijania” czy raczej samozwrotności (*self-reflexivity*) kryje w sobie szkopuły dobrze znane logikom. Powstają bowiem wtedy niebezpieczeństwa antynomicznych paradoksów.

Gdybyśmy mieli pewność, że język przewycięża samozwrotność (samoodniesienie) w sposób równie automatyczny i pewny praktycznie, jak to czyni kod pozaetniczny — dziedziczności, byłoby pół biedy. Kod ten pracuje także w pobliżu zagrożenia antynomicznością oraz *regressus ad infinitum*: albowiem gen, który wyznacza sporządzenie fermentu blokującego działanie wszystkich fermentów, a są takie, właściwie powinien by i sam siebie blokować. Wydaje się zrazu, że ów kod w tym miejscu musi okazać symptomy zapaści logicznego typu, takie same,

Relacja
samozwrotna

jakim podlega antynomia kłamcy („oświadczam, że właśnie kłamię”). Lecz kod genowy daje sobie z samoodniesieniem radę bardzo prosto — uruchamia bowiem wtedy naprzemienną oscylację, złożoną z półcykli zablokowania i odblokowania, której odpowiednikiem w języku etnicznym byłoby uszeregowane parami bezustanne powtarzanie: „jeśli oświadczam, że właśnie kłamię, to znaczy, że mówię prawdę; jeśli mówię prawdę, oświadczając, że kłamię, to właśnie kłamię” — i tak dalej bez końca.

Wypowiedź samozwrotna jest błędnym kołem, które unieszczęśliwia logika, ale nic nie szkodzi biologowi, owszem, podejrzewamy już, że oscylacyjno-kołowy charakter procesów — właściwie niemal wszystkich! — z jakich się składa stabilizująca dynamika żywej komórki, wywodzi się właśnie z przewyciężenia owej antynomii, i to takiego przewyciężenia, które wyraża maksyma niemiecka „*aus einer Not eine Tugend machen*”. To, czego się nie udało urzeczywistnić jako procesu doskonale wyrównanego, wyzbytego drganiowej amplitudy, tę właśnie amplitudę drganiową bierze sobie za podstawę! Albowiem ewolucja, sprawczyni życia, jest skrajną pragmatystyką, lecz my, jako myśliciele, na ogół wstydzimy się i wypieramy takiego pragmatyzmu.

Ma zresztą nasza podejrzliwość uzasadnienia: jeżeli bowiem język, segmentujący i oznaczający nam świat, jest stronniczy, niczym gospodyni, która dzieli pieczeń zgodnie z hierarchią rodzinną, a nie z anatomią pieczystego, to wydaje się nieprawdopodobne, żeby stronniczość tę można było wykryć, językiem ją badając, ponieważ wtedy Cygan świadczy się swoimi dziećmi. Na preparaty językowe patrzymy bowiem przez językowe szkła; należałoby raczej patrzeć na język od strony kodu, wszechstronnie do niego podobnego, ale nie będącego żadnym czysto ludzkim wynalazkiem jak mowa. Istnieje taki kod — dziedziczności właśnie, i może kiedyś dopomoże nam w rozwiązaniu zagadki. W każdym razie ewentualna

Zapaści
logiczne

Stronniczość
języka

Desygnowanie
i denotowanie

stronniczość języka, jego „bias”, jego presumpcywność, jest częstką językowej tajemnicy, której nie można się pozbyć apodyktycznym oświadczeniem, że jej nie ma, jak to czasem czynią logicy.

Drugi, bardziej może niebezpieczny szkopuł w tym, że wbrew pozorom znak nie jest znakiem „prawdziwym” poza systemem znaków. Nie tylko tym znaczą znaki, co stanowi relację desygnowania, urzeczywistnioną przez ukazanie znaku i określenie jego desygnatu, definicją ostensywną. I nie tylko dodaną do tamtej relacji — relacją kontekstową, relacją denotowania, znaczą znaki.

Można to udowodnić, bo gdyby denotowanie plus desygnowanie wyczerpywało „istotę znakowości”, to byłoby już od dawna mieli wyborne algorytmy tłumaczenia maszynowego i klęski wewnątrz translacyjnego projektu cybernetyka by się nie dorobiła — wbrew nadziejom, żywionym przed dwudziestu laty¹.

¹ Jest rzeczą zdumiewającą, jak uporczywie powtarzane są fałsze w tej kwestii. W *Les ordinateurs-mythes et réalités* (Paris, 1968) J. M. Font i J. C. Quiniou oświadczają, iż w ZSRR maszyna przełożyła „pewną” powieść Dickensa z oryginału na rosyjski i przekład „był zupełnie do przyjęcia” w zestawieniu z przekładem wykonanym przez zawodowego tłumacza literata! Jest to całkowitą nieprawdą. Źródła radzieckie nic o tym nie mówią i przekład taki w ogóle nie istnieje. Gdy kilka lat wcześniej J. Bar Hillel, autorytet w tej dziedzinie, pisał *Report on the State of Machine Translation in the United States and Great Britain*, oświadczając w nim, że „automatycznego przekładu maszynowego nie należy się spodziewać w najbliższej przyszłości”, miał na myśli wyłącznie przekłady tekstów naukowych. Adekwatnych przekładów utworów artystycznych nie spodziewali się rychło nawet entuzjaści programu translacyjnego, jak A. Oettinger, W. Locke czy A. D. Booth. Toteż twierdzenie autorów francuskich, niestety dość typowe dla pewnego typu „popularyzacji naukowej”, stanowi zwyczajne fałszerstwo będące wyrazem ignorancji lub złej woli. Automatyzacja przekładów notuje pewne, dotąd nikłe sukcesy, którym jednak na pewno nie przynoszą pożytku podobne enuncjacje wprowadzające laików w błąd.

Znaki denotują i desygnują pod patronatem bytów w wyższej mierze niepochwytnych i zagadkowych, jakimi są *pojęcia*. Właściwe sedno odmienności wszystkich teorii semiotycznych, semantycznych, semazjologicznych, jakie tylko istnieją, redukuje się do różnej roli pojęcia „pojęcia” oraz interpretacji stosunków, w jakich ów byt tajemny stoi względem pozostałych funkcji sensownej komunikacji. W samej rzeczy, co było najpierw — pojęcie czy nazwa? Znak czy sens znaku? Należy się obawiać, że tu nie było „najpierw” i że owe byty współwzłoniły się z chaosów pierwotnego otoczenia mniej więcej tak, jak się baron Münchhausen sam za włosy wyciągnął z bagna. Należy się obawiać, że znaczące splotło się od zarania ze znaczoną w demiurgicznym uścisku, że sekcje synchroniczne ani z narodzin tych nie zdają sprawy, ani się do nich dobrać nie mogą.

Pojęcie i nazwa

2. Pomiedzy zupełnym zaufaniem, pokładanym w „automatyce” i w „zmaterializowanej”, „skryształizowanej” mądrości, jaką język sobą stanowi, a zupełnym brakiem takiej ufności rozpościera się strefa wahań interpretacyjnych.

Fenomenolog to ten, kto językowi solennie wierzy, kto tak mu zawierza, że nie spodziewa się żadnych odkryć możliwych na nasz temat poza operacjami językowymi podejmowanymi indywidualnie, myślicielsko i refleksyjnie. Lingwista natomiast ze szkoły matematycznej, behawiorystycznej i statystycznej językowi badanemu „od wewnątrz” najmniej ufa; chce się nim zajmować jak fizyk molekułami, stołkami lub kamieniami, przyjmując do wiadomości to jedynie, co można „od zewnątrz” zaobserwować, ślepnąc na to, czym i jak język rozumiany jest „w nas”. Ponadto są i „centryści”, radzi połączyć oba stanowiska lub wybrać z nich elementy dostateczne dla syntezy kompromisowej. Należy do nich — bo może być tak klasyfikowany w tej kwestii — znakomity Noam Chomski.

Wahania interpretacyjne

W jakim stopniu takie wątpliwości powinny zajmować humanistę-literaturoznawcę? Sądzę, że w nie-

Zegarmistrze
języka

małym. Rozprawianie o znakowości tekstów ma wlać w nas wyższą, uczoną świadomość, obiektywizującą dzieła. Przyjemnie i godziwie jest zostać zegarmistrzem, zdolnym wykonać *coupage* i *decoupage* każdego werku. Nie pytajcie jednak zegarmistrza o to, czym jest czas, który mierzą wszystkie jego zegary, bo nie zna lepszej odpowiedzi od odpowiedzi św. Augustyna, który mówił, że wie, czym jest czas, dopóki go o definicję nie zapytają.

Nie brak zegarmistrzów języka: wypada jednak wiedzieć, że wszystkie ich orzeczenia są wysoce nieostateczne. Nie ma na razie żadnych kryteriów rozstrzygnięcia sporów międzyspecjalistycznych, kiedy do nich dochodzi, kiedy uczniowie mistrzów, takich jak Frege, Wittgenstein, Russell, oponują sobie wewnątrz teoretycznego językoznawstwa, ale nie mogą się nawzajem przeargumentować. Może być nawet i tak, że ustalenie ostateczne wszystkich relacji panujących między „pojęciem”, „denotatem” i „desygnatem” a znakami przedstawia tylko część daleko większego problemu. Sprowadzałby się on do konstatacji, że język jest *zawsze systemem* i że znak widzialny znaczy językowo, ponieważ wirtualnie koegzystują z nim te wszystkie związki i znaki, które w akcie objawienia znaku pozornie zgoła nie uczestniczą, bo nie są wprost wykrywalne.

Analogia
geometryczna

Byłby wtedy znak czymś takim, jak ów punkt, którym koło styka się z linią prostą: tu przynajmniej chwytny w lot prostą prawdę, że punkt styczny okręgu zawdzięcza swoją styczność nie tylko pokrywaniu się z punktem prostej, ale i temu, że należy do okręgu jako krzywej zamkniętej; gdyby do niego nie należał, to by o żadnej styczności mowy być nie mogło. Rolę widzialnego okręgu spełnia w tym modelu język jako system podczas oznaczania znakiem czegokolwiek; z tą różnicą, że owej „reszty” systemu, jako niewidzialnej i wprost niedoświadczalnej, nie umiemy ograniczyć, a tym samym i określić porządnie.

Okrąg jest niewątpliwie systemem danym, gotowym

i zamkniętym; niewątpliwie język takim systemem nie jest; konstytuuje go wirtualność, potencjalność, ograniczona zapewne (wszak każda artykulacyjna niepoprawność poświadcza istnienie granic, których przekraczać nie wolno), lecz nieskończona zarazem. Królowa empirii, fizyka, zna już te same kłopoty, ponieważ wirtualność — np. elementarnych cząstek — jest dziś kategorią niepozbywalną dla jej (kwantowych, atomistycznych) teorii. Jak jednak cząstki wirtualne, tj. te, których „nie ma” (skoro być tylko *mogą*) potrafią determinować zachowanie cząstek realnych? A właśnie: fizyk mniej więcej wie, dlaczego musiał tę kategorię wprowadzić, lecz milczy w kwestii „sposobu istnienia” owych potencjalności. Lingwistyka broni się jeszcze przed czystymi wirtualnościami. Sądzę, że daremnie.

Czysta
wirtualność
w języku

3. Trzeba osobno, skoro mówimy jak humaniści do humanistów, zwrócić uwagę na różnice zachodzące, gdy o języku, narzędziu, podmiocie i przedmiocie literatury mówią lingwiści fachowcy — jak np. znakomity Jehoshua Bar Hillel — i kiedy my o języku mówimy.

Kiedy człowiek działający zawodowo językiem jak pisarz (a nie tylko *badający* język) opanuje inne języki poza ojczystym, jest przeświadczony, że nie są one równoważne, że nie mają tożsamej sprawności, co się tyczy pokonywania rozmaitych zadań typowo literackich. Przejawia się ów fakt w banalnym ustaleniu, że to, co można bardzo łatwo wykonać w jednym języku (jako rozwiązanie artystycznego zadania na lingwistycznym poziomie), w innym bywa albo trudne, albo zgoła niurzeczywistnialne. I nie idzie w takim różnicowaniu tylko o odmienności fonematyczne, o „urodę” dźwiękową jednych języków i „chropawość” innych, bo ograniczenie się do tego aspektu rzecz trywializuje.

Nadmiarowość statystyczna wszystkich języków jest prawie taka sama, ale nadmiarowość mierzona długością artykulacji to samo znaczących i wyznaczających jest wcale różna. Pierwsza wyraża fakt,

Nadmiarowość
języka

że każdy język musi być kodem samonaprawczym, czyli dysponującym nadmiarowością dla skutecznego przejścia przez kanał (akustyczny, optyczny) zawsze pełen zakłóceń. Wszystkie języki zorganizowały się nadmiarowo podług prawie tożsamej charakterystyki owych zakłóceń w ziemskich środowiskach. Druga wyraża fakt, że nietożsama jest lapidarność mowy — i precyzja wyznaczania sensów na różnych poziomach wypowiedzi. To, co można po polsku jednym słowem wypowiedzieć, wymaga w niemieckim czy francuskim zdania — i na odwrót! („Głodnyś?” — w tym słowie jest całe zdanie skomprimowane.)

Problem dla drukarza?

Lingwista, jakim jest Bar Hillel, kwestię tę lekceważy. Oświadczył on, że niejednakowa długość to samo znaczących tekstów różnojęzycznych jest problemem wyłącznie dla drukarza. Na pewno nie tylko, bo ten, kto nie uwzględnia stosunku długości zdań do ich pojemności sensowej, nie może być pisarzem. Nie idzie tutaj tylko o „estetyczność” wypowiedzi. Raczej o to, iż trafiają się w dziele sytuacje, w których albo trzeba coś wyrazić w sposób absolutnie zwięzły, albo z wypowiedzi zrezygnować, ponieważ *tertium non datur*. Zwięzłość nie będzie probiezmem urody lingwistycznej, lecz zadaniem wyznaczonym kontekstowo i konstytucyjnie.

Język symulator i język protokolan

Można by opisać rzecz następującym przyrównaniem. Istnieją komputery czasu realnego i pracujące poza takim czasem. Komputer drugiego typu rozwiązuje np. zadanie matematyczne; jakość rozwiązania nie jest uzależniona od tego, czy sprawi się z nim w ciągu sekundy czy dziesięciu minut. Komputer czasu realnego musi pracować „krok w krok” z rzeczywistym (fizycznym) procesem, jaki nadzoruje lub jakim steruje (np. komputer naprowadzający raketę na cel musi pracować w czasie realnym, czyli nadążać za tempem zachodzącego — jako lot — procesu). W odniesieniu do tekstu literackiego spotykamy podobne sytuacje. Są teksty operujące czasem umownym, nie skorelowanym z tempami upły-

wu realnych zajęć, i są takie, które muszą być zsynchronizowane z tym, co opisują. Jeżeli synchronizacja jest doskonała, powstaje efekt tak zwanej „przezroczystości semantycznej” języka. Jeżeli jednak, wskutek rozwlekłości, opis wyraźnie wlecze się za zdarzeniami, po kolei i wolno przedstawia to, o czym skądinąd wiemy, że musi naraz i szybko zachodzić — efekt symultanki ginie i bywa właśnie, że jeden język za przedmiotową akcją „nadaża”, a drugi nie. Pierwszy działa jak komputer czasu realnego, drugi — jak pracujący poza takim czasem. Pierwszy staje się zajęć symulatorem, drugi tylko protokolantem. Nie są to wyłącznie estetyczne różnice. Dziwne tedy, że pozostawiające obojętnym — lingwistę.

Sprawa ta prowadzi ku następnej: czy świat dzieła literackiego może być — dzięki sporządzeniu doskonałych przekładów — w pełni inwariantny przedmiotowo?

Pytanie to implikuje następującą alternatywę: albo dzieło jest językowym pośrednikiem między odbiorcą a pewną przedmiotową, nieznakową rzeczywistością, albo jego tak zwana przedmiotowa rzeczywistość jest następnym w kolejności układem znaków, który należy wyinterpretować, bo nie wystarcza konstatacja czysto ewentystyczna lub procesualna.

Jest to pytanie podchwytliwe i równie nieprzyjemne dla logika, jak sławetne pytanie, czy obecny król Francji jest łysy. Król nie jest łysy tylko dlatego, że go nie ma, a nie dlatego, żeby nie był po prostu łysy; straszliwy spór gorzał wokół logicznego statusu tego zdania i nie wypalił się do dziś dnia. Sęk w tym, że podług logika zdanie „samo” powinno przesądzać o tym, co znaczy, jedyność zaś znaczenia implikuje jednoznaczność dychotomii prawdy lub fałszu. Cóż, kiedy język nie realizuje zawsze takiego przesądzenia; wyjątkowość kłopotów logika wobec kwestii uwłosienia króla francuskiego pochodzi stąd, że wyraźna nieokreśloność wyznaczania

Czy król jest
łysy?

cechuje zwykle układy ponadzdaniowe, czyli wielością zdań (ich koniunkcją) wskazujące zakres swej sensowej odpowiedniości. Ograniczając się do zdań wyizolowanych, logicy i językoznawcy ułatwiają sobie życie, czego badacze sztuki i literaturoznawcy uczynić na pewno nie mogą.

Oto przykład dowodzący tego twierdzenia (zawdzięczam go Andrzejowi Wajdzie). Pewien film, wyświetlany przed widownią otrzaskaną z obaleniem barier cenzury erotycznej, pokazywał dwoje nagich kochanków w łóżku (chodzi więc o obrazy, lecz równie dobrze mógłby ich rolę pełnić językowy opis). Kamera pokazywała ciała z pominięciem okolic genitalnych, co było wyrazem konwencji stosowanej powszechnie do upadku barier cenzuralnych. Widownia zareagowała *śmiechem* na owo pominięcie, ponieważ opuszczenie uznała za drastyczność dubeltową; to, czego *nie* pokazano, co było pokazywania (ewentualnie opisu) *luka*, zostało uznane za *znak* osobny, za wyrafinowaną intencję nieprzyzwoitości, a nie za wyraz zwyczajnego *przemilczenia*. Cenzurę obyczajności pojęli widzowie nieobyczajnie, ponieważ z posunięcia ukrywającego stała się w ich oku eksponującym. Do pokazywanych genitaliów już przywykli i zaskoczyć ich mogło tylko — niezademonstrowanie części rodnych wewnątrz oglądanej sekwencji.

Luka jako znak szczególny

Tak więc odbiorcy dysponowali odmienionym repertuarem znaków, co nadawca pominął. Sytuacja taka dla logika nie może istnieć, ponieważ brak zdania jest dla niego pustką zupełną, tj. nieistnieniem niczego takiego, co mogłoby zostać jako znak wyinterpretowane. Brak zdania nie może być dla logika zdaniem określonym w sensach przez sam fakt *niewyartykułowania*.

Brak jednoznacznej odpowiedzi

Poświadczając to, że nie ma jednoznacznej odpowiedzi na postawione na początku pytanie: to bowiem, co artykulacja wyznacza przedmiotowo, może być równie dobrze zinterpretowane jako złożony z *rzeczy* i *zajść* kres postępowania odbiorczego, jak również

jako następny zestrój znaków, już nie czysto językowych. Obciążenie zaś semantyczne rzeczy i zajęć zależy od kulturowego treningu odbiorców, lokalnie rozmaitego.

Bazowe układy znaków — artykulacje językowe — znaczą we wszystkich kulturach tak samo, lecz to, co te artykulacje wyznaczają, w różnych może różnie znaczyć. Jest zasadniczą niemożliwością takie obwarowanie wypowiedzi, żeby udaremniło z krete sem aktywność interpretacyjną odbiorców, ograniczając ją do przedmiotowego minimum, czyli do konstatacji tego, co „widać” lub co „zachodzi”. W tym sensie tekst literacki jest desygnacyjnie i denotacyjnie „otwarty” i „zamknąć” go ściśle nie podobna. Toteż mogą w nim znaczyć, czyli zdobyć funkcję znakową — wszelkie obiekty i zdarzenia — krajobrazy, wiatry, ciała zwierząt i ludzi, piasek, kamienie, gwiazdy, szafy, sentymenty na równi z bazowymi kategoriami percepcji: przestrzenią i czasem. Jednak różne teksty w niejednakowy sposób otwierają pole aktywności semiotycznej nadjęzykowego poziomu. I w niejednakowy sposób otwierają pole takiej aktywności różnojęzyczne przekłady pewnego wyjściowego tekstu. A to, ponieważ składowa poziomu zerowego, czyli lingwistyczna, pełni w polifonicznym „odegraniu” utworu rozmałą rolę — w różnych tekstach i w różnych językach. Jeśli w przekładzie udział konstytuandy lingwistycznej dzieła maleje, jego strona językowa schodzi na dalszy plan i już przez to przedmiotowa rzeczywistość wysuwa się na plan pierwszy (bo w recepcji znaków panuje *horror vacui* — odbiorca domniemywaną pustkę wypełnia „odruchem semantycznym”). Jeśli się językowy plan uwyrażnia, może słabnąć przedmiotowa suwerenność dzieła.

To, że tłumaczenie kongenialne nie może stanowić klasy jednoelementowej (możliwe są tłumaczenia zarazem znakomite, a od danego świetnego odmienne), jest skutkiem powyżej nazwanego stanu rzeczy. Wkracza tu na scenę straszliwe dla teorii pojęcie nie-

Językowość
i przedmio-
towość dzieła

Przypadek
tłumaczenia

skończoności, ponieważ liczby przekładów kongenialnych, lecz różnych nie można ograniczyć. W zasadzie mogłoby ich być dowolnie wiele. Co to znaczy, że utwór znakomity w oryginale nie starzeje się tak jak jego tłumaczenie, przez co wypada co jakiś czas odświeżać wersje obcojęzyczne, sporządzając nowe przekłady? Oto wstępna propozycja wyjaśnienia tajemnicy: korelatem genialnego dzieła jest — ze zniechęconego historycznie orzeczenia odbiorców — całość (lub niemalże całość) kultury stojącej za dziełem. Przekład jest projekcją przez inny język — w obręb innego kulturowego układu, projekcją zawsze niepełną, bo uruchamiającą rezonansowo tylko tę połąć sensów, w jakiej zakresie pokrywają się kulturowe repertuary dwóch nacji. Odbiorcy oryginału nie odczuwają potrzeby zmiany, ponieważ oryginał stanowi nieusuwalną już część ich własnego kapitału kulturowego. Mogą zmieniać odczytania tekstu, ale sam tekst stoi dla nich pod ochroną nietykalności. Odbiorcy przekładu, wskutek niepokrywania się historycznego toru ich kultury i kultury, która oryginał wydała, notując wzajemne ruchy repertuarów znaczeń i odsyłaczy, dochodzą potrzeby sporządzenia nowego rzutu, nowej projekcji uwzględniającej zaśle zmiany. Ale nikt nie dobrał się naprawdę ostrymi narzędziami do pobliża tej sprawy.

Odmowa pokory

4. Wypowiadam te wątpliwości, podkreślam obecność zjawisk trudno zrozumiałych, aby się nie wydawało, że lingwiści wiedzą o języku, semiotycy o znakach już wszystko, a nam wypada jedynie słuchać ich w pokornym szacunku.

W tym kontekście ważne wydaje mi się stwierdzenie, że cele, jakie stawia sobie pisarz, mogą być sprzeczne z funkcją optymalizacji wyznaczania, pełnioną w normie przez językową wypowiedź. Język jest wprawdzie niejednoznaczny, ale przedział takiej niejednoznaczności ma w każdym języku wyraźne swe ograniczenia, ponieważ język nadmiernie chwiejny w wyznaczaniu (desygnowaniu i denotowaniu) pogarsza swą jakością jako narzędzie łączności

ci. Tymczasem wysiłek pisarski, który stara się wyeksponować lub nawet przeeksponować lingwistyczny plan wypowiedzi, często usiłuje właśnie pogorszyć, i to z rozmysłem, łącznościową sprawność języka, ponieważ podwyższona nieokreśloność artykulacji zwiększa potencjalny zbiór jej sensorycznych odwołań.

Używa się po temu rozmaitych taktyk, od najprostszych, znanych z dawien dawna poetom. Polegają one na przykład na usuwaniu znaków interpunkcyjnych i rozłamywaniu tekstu na wersy, niezgodnie z dyskursywnym planem *prima facie* semantycznej zawartości, po to, żeby wyraźniej wystąpił tak zwany plan głębszych odniesień znaczeniowych, czyli głębia semantyczna — plan dalekiego perymetru stosunków, w jakie wyrażenia wchodzi z innymi wówczas, gdy ulega zaćmieniu bliższe, utarte okole nawykowych sąsiedztw zdań i słów. Bardziej perfidny jest manewr polegający na wprowadzeniu neologizmów, słów, jakich w języku nie ma, a którym sensory nadają implicytnie znane każdemu mówiącemu reguły paradygmatyki nazwotwórczej oraz konsytuacja ewokowana całą wypowiedzą lub całym kontekstem. Słowa takie pełnią najczęściej funkcje ekspresywne, czyli powiększają tym samym informacyjną pojemność tekstu, liczoną na jednostkę wyrażenia, ale taktyka owa może być też zastosowana odwrotnie niejako: może bowiem zmierzać do podwyższenia nieokreśloności w zakresie modalnym. Idzie wówczas o to, żeby czytelnik nie umiał właśnie dokonać samoczynnie i spontanicznie aktu klasyfikacyjnego przyporządkowania wypowiedzi, aktu, który uprawia ją w znane, względnie zamknięte uniwersum dyskursów. Wypowiedź, która się nigdzie „wpasować” nie chce, uzyskuje bowiem osobliwą suwerenność: zdaje się nie opisywać żadnego z „możliwych światów reistycznych”, z żadnego nie pochodzić, lecz stanowi sobą własne uniwersum, „świat słowem stworzony” — a nie słowem *ewokowany*, przyzwany tylko. Tak więc, gdy w wypowiedzi współistnieją wyznaczniki,

Potęgowanie
nieokreśloności

Suwerenność
wypowiedzi

kierujące automatykę klasyfikacyjną odbioru w różne i sprzeczne z sobą strony *naraz*, tekst niejako *zawisa* — przez swą nieprzyporządkowalność — w dziwacznym stanie — zdobytej przez kontradiktoryczność — autonomii.

Budowanie takich i podobnych wypowiedzi jest robotą z postanowienia antynomiczną. Jednymi wyznacznikami leksykograficznymi i stylistycznymi ciąży wtedy wypowiedź w jedną stronę, np. ku zbiorowi zdań „archaicznych”, udając, że pochodzi z głębokiej przeszłości. Innymi wybiega w fikcyjną „przyszłość”, co symulują pojęcia *ad hoc* zmyślane, poprzez neologizmy sugerujące istnienie stanów rzeczy, jakich nie ma, ale jakie by kiedyś nadejść mogły. Jeszcze inne wyznaczniki kierują się „w bok” — więc w ogóle nie podlegają diachronicznie usegmentowanej klasyfikacji, ponieważ nie wiadomo, co by z nimi począć w porządku chronologii. Zdanie, szarpane niejako sprzecznymi postanowieniami semantycznego receptora w różne *naraz* strony, „zawisa” w stanie nieokreśloności lokalizacyjnej. Efekt ów z kolei może albo współgrać z jego centralnym znaczeniem (skąd właśnie rosnąca autonomia, suwerenność „językowo kreowanego uniwersum”), albo też może mu się przeciwstawić na prawach językowo wywołanej drwiny czy złośliwości (to wtedy, gdy lingwistyczne „uniwersum” nie tylko kontradycjami wyznaczników zostało do bytu powołane, ale nadto samo kontradiktorycznościami stoi, samo siebie nimi neguje, samo sobie przeczy). Wtedy — w drugim przypadku — nawet skierowanie ostrza złośliwości, ironii, drwiny w jakąkolwiek stronę pozajęzykową okazuje się trudne. W takiej sytuacji modalność tekstu jakby się w sobie zamyka, tak że ładunek emocjonalny — nazwanej drwiny, powiedzmy — nie zdobywa sobie żadnego desygnacyjnego ujścia, lecz się owa emotywność rozlewa po tekście i w nim „siedzi”. Proponuję od strony takich mechanizmów przebadać np. teksty Kafkowskie, które, jak wiadomo, mienia się „obertonami” efektywnymi: nie zaw-

Językowo
kreowane
uniwersum

sze są odczytywane jako ponure, pogrążone w deprymującej szamotaninie; mogą budzić nawet wesołość, jaką budziły w pierwszych słuchaczach fragmenty *Zamku*.

5. Mówimy o tym dlatego, ponieważ są to sytuacje dość nagminnie spotykane w literaturze pięknej a zarazem takie, w których osamotnienie twórcy i badacza jego tekstów dochodzi pełni. Albowiem mowy nie ma o tym, żeby takie „obertonalne” stosunki, podszyte w obszarze zadań semantycznych antynomicznością, stanowiły obiekt roboty badawczej lingwistów czy logików. Toż oni się kontradycji boją gorzej niż diabeł wody święconej! Oni się jeszcze tak daleko nie dobrali, więc w tym wielkim regionie literaci pospółu z literaturoznawcami lingwistów słuchać nie muszą, a tym bardziej nie mogą się spodziewać świadczonej pomocy. A przecież wiadomo, że wartość literacką (i zarazem tryb wyznaczania beletrystycznej wypowiedzi) jakże często determinują takie cechy leksyki, syntagmatyki, stylistyki, które — będąc dla teorii języka w rozumieniu ścisłym bytami niepochwytnymi, dla logika zaś skazanymi na banicję — stanowią jednocześnie dla każdego poety, pisarza i krytyka solidne oczywistości o pierwszoplanowej wadze.

Jesteśmy tedy samotni tam, gdzie rządzi sprzeczność lub jej cień tylko. Sytuacja zarazem wygodna, skoro nie trzeba w niej okazywać pokory wobec autorytetów, ale też niebezpieczna, bo nie ma nic gorszego od pochopnego teoretyzowania *ad hoc* tam, gdzie brak kryteriów prawdy i wiarygodności. A przecież czymże innym są — często — wykładnie dzieł, jeśli nie teoriami *ad hoc* sporządzonymi po to i tak, żeby semantyczna „ekologia” dzieła uległa wyraźnemu i pełnemu rozpoznaniu? Gdy autor jest powszechnie znany, gdy jego dzieła stanowią w świadomości krytyki układ scalony — owa „ekologia” konstituuje sama spójny, kolektywnie przez krytykę wzniesiony system. Gdy natomiast autor rangi takiej nie dostąpił, poszczególne krytyki jego pojedynczych utwo-

Osamotnienie
twórcy
i badacza
literatury

Wykładnia
dzieła
jako teoria

rów bywają odrębnymi „kawalkami”, które w całym zbiorze nie muszą wykazywać żadnego uporządkowania, żadnej koherencji. Niekiedy wokół dzieła powstają „ekologie” sobie oponujące (takim *embarras de richesse* obdarzono np. utwory Sienkiewicza), nie dające się uzgodnić ani połączyć.

Czyściec
pisarza

W każdym razie pojawianie się krytyk, które utwór usuwają w izolacji „załatwić”, nie ustosunkowując się wcale do jego innych omówień, świadczy o nieuregulowanym definitywnie statusie twórcy i jego produktów, o przebywaniu w czyścicu doraźnych, *ad hoc* artykułowanych analiz i ocen. Jedni z czyścica przechodzą po prostu w zapomnienie, inni — znikoma mniejszość — dostępują konstytuowania się wokół ich dzieł otoku tak sztywniejącej strukturalnie „ekologii”, że potem już nikt nie może o tych tekstach mówić, jednocześnie nie ustosunkowując się wyraźnie względem zastygłej budowy interpretacyjnej. I jakże sądzić, że „znaki” zawarte w dziełach obywateli „czyścica” są tym samym po prostu, czym są „znaki” twórców, których książkom ofiarowała już krytyka nobilitujące mieszkanie składkowo zbudowane?

Nowość
i oryginalność

Rozpowszechnione jest przeświadczenie, że jakoś sensu i kształtu oryginalnego dzieła rozpoznaje się (w trybie wyżej naszkicowanym) z nieuchronnymi opóźnieniami. Nowość jest czym takim, czego się pierwiej nauczyć trzeba, nim się można tym będzie zachwycić. Na to zgoda — z zastrzeżeniem, że nie chodzi o wyróżnik beletrystycznych tylko wypowiedzi. W sferze ich rozumienia nie obowiązuje dychotomia, podług której albo się tekst rozumie, albo się go nie rozumie. Historia nauki obfituje w przykłady wielkich odkryć teoretycznych, które były wprowadzane po opublikowaniu „rozumiane” przez specjalistów, ale które *de facto* spotykały się z totalną obojętnością, trwającą lata albo i dekady. Tak było z klasyczną pracą Einsteina o *Elektrodynamice ciał w ruchu*, czyli z jego szczegółową teorią względności; nie inaczej z art. L. Szilarda, który na wiele lat

przed Shannonem zestawiał pojęcia rodem z termodynamiki z pojęciami stanu poinformowania, czyli właściwie przerzucił mosty między fizyką a logiką (informatycznie pojmowaną). Tymi rewelacjami nikt się wtedy bliżej nie zainteresował.

Świadczą takie fakty — a można dziesiątki przytaczać — o tym, że „rozumienie tekstu” (dowolnego) jest procesem kontynuualnym. Może on być w jednostkowych odbiorach najrozmaiciej ustopniowany i, na dobrą sprawę, nie ma dna ani granicy takiej, żeby o pewnym tekście można było orzec, iż to, co on wyznacza sensowo, już dokumentnie, do samego końca zostało wyczerpane. Ani teorie naukowe, ani literackie dzieła nie mają bowiem za fundament reistycznie bądź procesualnie widomego „świata” wprost. Naprawdę teorie — teoriami, a dzieła — dziełami stoją. Znaczą to, że teoriami już przyswojonymi, już wyposażonymi w prawa obywatelstwa nauki, bada się — jako kalibrowymi sprawdzianami — nowe teorie. To samo dotyczy dzieł. Znaczą to, że teoria i dzieło nobilitowane, bo zasymilowane (kulturowo czy przez naukę) przestają być obiektami do odzerowego zbadania i stają się częścią bazowego układu odniesienia, w którym — i którym — bada się zarówno świat, jak i nowe o nim utwory oraz nowe jego teorie. Znaczą to, że badane twory językowe z pozycji „zewnątrznej” względem układu przechodzą na pozycję „wewnętrzną” — jego partykuł. To, co było w cęgi brane, samo staje się „cęgów” składową konstytutywną. W nauce ta akumulacja daje się jednak daleko wyraźniej i łatwiej prześledzić aniżeli w literaturze, ponieważ teorie z teorii wynikają logicznie (lub teorie są przez teorie logicznie negowane), natomiast ta sama dychotomiczna maszynka ekspertyzy nie daje się zastosować w literaturoznawstwie. Stąd i powątpiewanie w kumulatywny charakter rozwoju sztuki. Lecz już domyślamy się, że twierdzenia o jej niekumulatywności nie można ani totalnie potwierdzić, ani totalnie zanegować: stosun-

Rozumienie
tekstu
jako proces

ki na tym polu są po prostu bardziej złożone, jako logicznym sądom wprost nie podległe.

Ten stan rzeczy jest tak bardzo niemiły badaczom regionu logicznego, semantycznego, lingwistycznego, że dla ułatwienia sobie życia pomijają go jak mogą w swej praktyce. Stąd też język — we wszystkich segmentowalnych funkcjach — bywa traktowany tak mniej więcej, jak wycięte z taśmy filmowej pojedyncze znieruchomiałe zdjęcia, czyli elementarne klatki. Jego aspekty dynamiczne ulegają przez to systematycznemu niemal zatarciu.

Spośród wielu szkód, jakie powoduje ta polityka, jedną mam za wyjątkowo fatalną. Oto segmentacje i klasyfikacje, stosowane przez nazwanych fachowców, objawiają skłonność do urastania w hipostazy. O tym, że tak jest właśnie, zaświadczy fakt zachnięcia się niejednego z czytelników — przy moim oświadczeniu, że „tak naprawdę” język nie jest układem relacyjnym, rozpiętym pomiędzy funkcjami desygnowania, denotowania i operowania pojęciami. Chodzi o wygodne konstrukty, o skutki prokrustowego unieruchomienia językowych wypowiedzi, o podziały praktyczne, udostępniające nam pokolejnie i oddzielnie to, co język sprawia *de facto* kontynuualnie i symultatywnie. Trzeba się, niestety, wyżyć rozkosznej pewności, że znajomość terminów typu *signifiant* i *signifié*, plus kilkaset innych, z rozmaitymi „strukturami” na czele, doprowadza tak wiednego do stanu zupełnej jasności w kwestiach językowych.

Względność ujęć, konwencjonalistyczny charakter klasyfikacji, należy uświadamiać sobie właśnie dlatego, że to, co jest skutkiem umowy (konwencji), zawartej dla zbadania jednego aspektu zjawiska, nie może być tym samym traktowane jako odkrycie stanu rzeczy. Chcę powiedzieć: badając twór językowy, ingerujemy weni, ustawiamy się w perspektywie wyznaczonej naszymi zainteresowaniami i naszą badawczą presumpcją. Od obojga zaś *nikt nigdy* dozerowo nie może się wyswobodzić. A więc zapalo-

Hipostazy
lingwistów

wi badawczemu powinien tu asystować i niejaki sceptycyzm — bo nie ma nic śmieszniejszego niż neofita *plus catholique que le pape* lub amator lingwista, w jakiego obraca się literaturoznawca, biorący za pewniki wtajemniczenia językoznawczego to, co jest tylko heurystycznym domysłem i regułą prakseologiczną fachowców.

Przez to też nie może być żadnych świętych i nie-naruszalnych tez wyjściowych w badaniu. Jedną z takich tez jest bodaj domniemanie de Saussure'a, że dzieło w całości odpowiada pojęciu języka (*la langue*). Jest to okropna nieprawda, sprzeczna z wszystkimi późniejszymi ustaleniami informatyki i lingwistyki, nieprawda, której nikt nie śmie nazwać po imieniu przez szacunek dla mistrza. Nieskończona *in potentia* interpretowalność dzieła jest zjawiskiem zupełnie innego porządku. Wynika stąd, że ilość informacji ustala dla zdania (czy koniunkcji zdań) moc liczebna repertuaru dyskretnych stanów, którego to repertuaru używamy dla wyznaczenia sensownej i ilościowej zawartości informacyjnej; a wszak od nas jako odbiorców zależy, jak bogatymi repertuarami będziemy przy lekturze operowali! Natomiast jako wypowiedź skończona, uporządkowana i w elementach przeliczalna należy każde dzieło do zbioru wypowiedzi językowych (*la parole*). Ustalanie informacyjnej zawartości języka (wypowiedzi) jest w pełni dopuszczalne (choć nacechowane wyżej określonym relatywizmem). Natomiast, jak podkreślał Bar Hillel, stosowanie informacyjnych miar do pola językowego (tj. do *la langue*) to zabieg bezsensowny: nie można mierzyć nieskończoności procedurami z definicji skończonymi.

A więc nie jest tak, jakby tylko sfera prac swoście literaturoznawczych była zagmatwana niejasnościami, ponieważ niepewność i domysł tkwią też w fundamentach gmachu humanistyki, na którego wysokim piętrze beletrystyka gości.

Teza
de Saussure'a
nie jest
świętością